

Stanisław
DYGAT

**W cieniu
Brooklynu**
i inne opowiadania



Stanisław Dygat

W CIENIU BROOKLYNU
I INNE OPOWIADANIA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-36-2

Copyright © Magdalena Dygat-Dudzińska

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1973

Spis rzeczy

- [1. Upiór](#)
- [2. Koniec świata](#)
- [3. Ucieczka](#)
- [4. Szosa do Garwolina](#)
- [5. Męka niezdecydowania](#)
- [6. Dzień powszedni](#)
- [7. Niedziela](#)
- [8. Salon warszawski 1944](#)
- [9. Hotel Waldorf Astoria](#)
- [10. W cieniu Brooklynu](#)
- [11. Kolumna Zygmunta](#)

Upiór

Nasza kamienica wyglądała tak, jakby ktoś wziął ją w rękę, obejrzał sobie, a potem z niechęcią cisnął w błoto. W stosunku do ulicy stała niesymetrycznie i musiała tu stać na długo przedtem, nim powstała ulica. Raz napisano nawet o niej w gazecie, ale to nic nie pomogło; robiła się coraz brzydsza, stała coraz krzywiej i coraz głębiej zapadała w błoto.

Podobno architekt, który ją zbudował, pokłócił się pewnego razu z żoną i ze złości postanowił zrobić coś najbrzydszego, na co go było stać. Stróż Sikorski miał lat siedemdziesiąt. Urodził się w naszej kamienicy i twierdził, że nikt jej nigdy nie wybudował, zawsze była.

Jedna rzecz nagradzała jej szpetotę i wszystkie pozostałe szpetoty świata.

Ania Kwietnicka miała lat dwadzieścia, postać wysoką i smukłą, ale pełną i krągłą. Ciało delikatne, włosy blond, uczesane starannie, ale nie gładko. Czasem opadały jej na czoło. Twarz była czymś w rodzaju symfonii: na tle delikatnych łuków i subtelnych okrągłości cztery kolory: błękit oczu, różowość policzków, czerwień warg i biel zębów wygrywały swój kontrapunkt.

Wszystkie szczegóły jej postaci, każdy ruch, każdy gest, każdy uśmiech, słowo każde i każdy błysk oczu, krzyczały w ucho temu, kto na nią patrzył: kobieta! Krzyczały tak donośnie, że aż w głowie się mąciło.

To jeszcze nie wszystko! Ania umiała rozdawać uśmiechy i słowa. Każdemu inne i każdemu właściwie należne.

Ania umiała zatrzymać się przy dzieciach, głaskać je po głowie i wydobyć z kieszeni cukierek. Młodszych pytała o zdrowie rodziców. Starszych – o zdrowie dzieci. Umiała wziąć na rękę kota, a jednocześnie nóżką bawić się z psem. Umiała też wiele innych rzeczy tyczących wiedzy o kobiecym czarze. Lubiała nosić kolorowe, ale nie jaskrawe sukienki, w grochy, w pasy, w kraty, sukienki powiewne, które były szatą zewnętrzną bogatej treści jej ciała. Lubiała kapelusze o szerokich rondach i wiedziała dobrze, że najbardziej jej w nim do twarzy, gdy go trzyma w ręku. Lubiała też barwne berety, które przekrzywione na czubku głowy tworzyły kropkę nad „i” jej kobiecości. Kiedy wybiegała rankiem z domu (nie wychodziła bowiem nigdy, a wybiegała, jakby płynąc powietrzem tuż nad ziemią), dzieci przerywały na podwórzu zabawę i krzyczały: „Aniu, Aniu!” i wyciągały ręce, i wiodły za nią oczyma, póki nie zniknęła w bramie jak najpiękniejsze senne widziadło. Wiódł za nią wzrokiem szewc, pan Kołodziejczyk, z okien warsztatu. I jego czeladnicy. I były sierżant, pan Krawczyk, który o tej porze zwykł się golić (zaczynał się przy tym strasznie i cały dzień kłął, chodząc w plastrach). I urzędnik Ubezpieczalni, pan Owczarek. I pianista z baru „Szarotka”. I administrator kamienicy. I stróż. I listonosz, jeśli akurat przechodził. I wszyscy inni mężczyźni i kobiety, i ja też. Miałem dwanaście lat wtedy.

A pani Natalia Kwietnicka, właścicielka pralni, patrzyła zza firanki z uśmiechem zadowolenia. Lubiała patrzeć na córkę, gdyż, jak sądziła, oglądała swój portret sprzed lat, sprzed ilu, nie wiadomo. Pani Natalia Kwietnicka należała do osób, których wiek zatrzymał się na niebezpiecznym wirażu nienasyconych wrażeń młodości i pomimo protestów ciała nie chciał posunąć się naprzód.

Wciąż była osobą okazałą, lubiła królować, czy to u siebie w mieszkaniu, czy w pralni, czy na podwórzu i umiała jeszcze, trzymając się z lekka pod bok, przechylać się z pewnym wdziękiem w biodrach, mrużąc przy tym oczy.

Wady? – mówiła. – Wiem, że mam ich wiele. – Nie wierzyła w to jednak, ale czując, że krążą gdzieś przecież wkoło niej, z konieczności umieszczała je w mężczyźnie, który był w danej chwili jej kochankiem. Dlatego to bardzo narzekała na niedoskonałość mężczyzn i cierpiała nad tym dużo i szczerze.

A pan Walery Kwietnicki, fryzjer męsko-damski? Celem jego życia było mieć święty spokój, tak zewnętrzny, jak i wewnętrzny. Dla zrealizowania tego celu poświęcał wszystko.

Wciśnięty między urodę córki i ekspansywność żony, był blady, mały i chudy, miał półprzymknięte oczy i stale przylepiony do twarzy niepewny uśmiech. Na wszystko mówił: „Eee, tam!” jakoś przeciągle i jakby prosząco, żeby nie rozwijać z nim żadnego tematu. Posuwał to tak daleko, że nawet u siebie w zakładzie, gdy gadatliwy klient usiłował wydobyć z niego opinię na temat szans Arizony III na najbliższe Derby, odpowiadał: „Eee, tam, proszę szanownego pana, ja mam zasadę, pilnuj swego, a w cudze nie patrz, bo oko złamiesz!” Tak się bał złamania oka, które zburzyłoby mu spokój, że gdy raz wszedł do sypialni żony w momencie, kiedy mąż powinien znajdować się jak najdalej (zastał tam urzędnika Ubezpieczalni pana Owczarka), powiedział: „Serwus, żonusia”, usiadł w fotelu, udając, że prócz żony nikogo więcej nie dostrzegł. Pan Owczarek okropnie się obraził, przestał przychodzić, a sąsiadom mówił, że pan Kwietnicki jest niewychowanym chamem.

Było niedzielne popołudnie.

Niedzielne popołudnia mają w sobie coś, co odróżnia je od każdego innego popołudnia. Słońce świeci inaczej, jak gdyby lampa zapalona w dzień. Powietrze się rozrzedza, domy, drzewa, płoty, ulice i trotuary sennie odpoczywają. Przestrzeń staje się jeszcze bardziej przestrzenna, a nieruchomość jeszcze bardziej nieruchoma.

Siedziałem na beczie koło płotu i plułem, celując w ogon śpiącego kota. Byłem zamyślony i tęskny.

Na drugim piętrze pianista z baru „Szarotka” grał walca Karasińskiego „L’amour pour l’amour”. Stróż siedział na ławeczce i drzemał z rozwartą ku słońcu gębą. Dzieci bawiły się w piasku, kłócąc się ordynarnie. Chłopaki przywiązywały psu do ogona blaszankę.

Gdzieś gwizdnęła lokomotywa. Były sierżant Krawczyk ukazał się w oknie i patrząc w podwórko bębnił palcami po futrynie. Wyszedł administrator, kierując się ku bramie, ale zatrzymał się i czekał, aż chłopaki przywiążą psu blaszankę.

Kot obudził się i skoczył z płotu. Z parterowych drzwi wybiegła Ania. Biegła chyba szybciej niż zazwyczaj, a wszystkie kolory stroju i ciała wydawały się jeszcze bardziej kolorowe. Przebiegła tak blisko mnie, że zawadziła o beczkę kapeluszem, który wyleciał jej z rąk i upadł na ziemię. Zeskoczyłem i podniosłem go. Pochyliła się nade mną i spojrzała na mnie, jakby przebudziła się nagle z głębokiego snu. – A to Franek! – powiedziała. Pochyliła się jeszcze niżej, tak że włosami musnęła mi czoło, a wzrok mój zatrzymał się na okrągłościach dekoltu – i dziwny dreszcz przebiegł mi przez ciało.

Szepnęła: – Jestem dziś bardzo wesoła!

Wyjęła z torebki dwa złote i wcisnęła mi w rękę. – Kup sobie cukierków.

Spojrzałem jej w oczy. Błyszczały blaskiem, który wydał mi się kuzynem doznanego przed chwilą dreszczu. Położyła mi rękę na ramieniu i wtedy, gdy podniosłem oczy, ujrzałem upiora.

Siedział na kominie z łokciami na kolanach, podpierając głowę pięścią, i patrzył w dal, zamyślony i jakby tęskny. Lekki biały dymek unosił się z komina, zasnuwając miarowo jego postać, aż zupełnie zniknęła.

Gdy znowu chciałem spojrzeć na Anię, nie było już jej ani koło mnie, ani na podwórzu. Zostałem ze wspomnieniem dreszczu, wizją upiora i dwoma złotymi, które ścisnąłem w rękę. Stałem tak, nie wiem jak długo.

Tymczasem ściemniło się.

Kot wylazł znów na płot i stał czarny nieruchomo na tle ogromnego, pomarańczowego księżycy, który wygramolił się zza horyzontu. Pianista milczał. Na podwórku było pusto. Znowu gwizdnęła lokomotywa, teraz przeciągle, nokturalnie. U byłego sierżanta Krawczyka zapaliła się lampa, a w otwartym ciemnym oknie Kwietnickich powiewała firanka.

Nie chciałem wracać do mieszkania. Czułem wstyd i niechęć do pokazania się komukolwiek (bliskim szczególnie) w stanie niezrozumiałego wytrącenia z powszedniości. Ciemnymi, skrzypiącymi schodami szedłem w górę na strych, miejsce, które często było skrytą garsonierą moich samotnych marzeń. Przebiegłem jak zwykle przez wybitą szybę nad drzwiami. Grzęznąc w ciemni strychu zaledwie rozjaśnionej białymi płachtami suszącej się bielizny, szedłem ku ulubionemu miejscu koło dymnika. Ujrzałem, że stoi tam jakaś postać. Opierała się łokciem o dymnik, z dłonią przy twarzy, i patrzyła w granatowe niebo.

Zatrzymałem się.

Był to upiór. W stanie, w jakim byłem, byłbym przeląkł się, spotkawszy na strychu każdy żywy stwór. Upiór wydał mi się bliski i naturalny. Czułem z nim związek, coś własnego, swojego. Stałem jednak, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. W końcu obrałem najpospolitszy w takich wypadkach sposób: zbliżyłem się i znacząco chrząknąłem.

Upiór wrzasnął, odwrócił się gwałtownie i zaczął uciekać przed siebie. Wpadł w białe płachty, zerwał sznur, zaplątał się, przewrócił i szamotał się na ziemi, jęcząc cicho. Podeszedłem i schyliwszy się, pomogłem mu wyplątać się ze skomplikowanego stosu koszul, prześcieradeł i obrusów. Księżyc patrzył przez dymnik.

Siedzieliśmy obok siebie na ziemi, on dyszał, ja wpatrywałem się w niego. W końcu i on spojrzał na mnie swoimi smutnymi oczyma, spojrzał płochliwie i niechętnie.

Wyciągnąłem ku niemu rękę i podałem mu dwa złote, które przez cały czas ścisnąłem w dłoni.

Zawahał się chwilę, potem wziął, popatrzał, powiedział: – Dwa złote – i schował do kieszeni.

Głos miał metaliczny i dźwięczny jak brzęk dwu złotych.

– Nie chciałem nikogo przestraszyć – zacząłem nieśmiało. Mówiłem bezosobowo, bo mówić do niego ty byłoby zbyt poufałością, a pan śmieszne.

Machnął ręką.

– To nic – rzekł. – Zamyśliłem się trochę i nie zauważyłem, jak podeszedłeś. Nie przepadam za ludźmi.

Mówił do mnie ty, co mnie ośmieliło.

– Co tu właściwie robisz? – zapytałem.

Wyprostował się, zarzucił połę płaszcza i powiedział:

– Jak to co? Jestem.

Powiedział z dumą.

Pokiwałem milcząco głową. Robiłem to zawsze i robię do dziś dnia, kiedy słyszę coś nieprzekonywającego, a nie chcę mówiącej osoby narazić.

– Te dwa złote – rzekł – bardzo mi się przydadzą. Lubię pieniądze, choć ich nie potrzebuję. Kupię sobie mleka. Raz kupię zamiast kraść butelki pod drzwiami.

– Ty pijesz mleko? – zdumiałem się.

– Widzisz – zająknął się, jakby zawstydzony – zasadniczo powinienem wypijać krew małych dzieci. Ale jakoś nie bardzo mogę. Odbija mi się, dostaję zgagi.

– Ile masz lat? – zapytałem go stąd, ni zowąd.

– Sto sześćdziesiąt pięć tysięcy siedemset czterdzieści osiem – odparł – ale zdążyłem już przeżyć i zobaczyć niejedno.

Wstał, przeciągnął się. I ja wstałem, podeszliśmy do dymnika. Księżyc powędrował dalej, niebo spoglądało na nas milionem gwiazd. Przypatrywałem mu się. Jego zachowanie właściwie budziło litość. Było to typowe zachowanie osoby, która, przyłapaną na braku pewności siebie, stara się już za późno tę pewność okazać. Było to tym przykrejsze, że z naturą jego stanowiska pewność siebie była zasadniczo związana.

Jakie to okropne! Był kimś, kto myśli, że straszy, a wcale nie straszy. To chyba gorsze niż ktoś, kto myśli, że czaruje, a wcale nie czaruje.

Przypomniat mi się wuj Erazm, kierownik sklepu bławatnego, który szczylił się tym, że jest katem dla personelu, tymczasem cieszył się wśród podwładnych opinią najłagodniejszego człowieka pod słońcem. Ten wuj miał zwyczaj opowiadać historyjki. Najgłupsze, jakie można usłyszeć. Tak głupie, że słuchacze nie wiedzieli, jak mają historyjkę przyjąć i co potem powiedzieć. Nigdy też nie mówili, niektórzy tylko kiwali głowami, inni milczeli, wodząc oczyma po ścianie. Najwyżej czasem ktoś bardziej nerwowo westchnąwszy powiedział: tak, tak, a wuj był zadowolony i przekonany, że jego historyjki są ciekawe, wnikliwe i pouczające. Były w istocie tak głupie, że aż wstyd.

Na przykład: firma wysłała go do Anglii. Na statku znalazł partię brydża. Partia była bardzo przyjemna, tylko jeden z partnerów strasznie długo tasował karty. Trzeba mu było za każdym razem mówić: no, panie, już dosyć – bo jakoś tak się w tym tasowaniu zagapiał i zapamiętywał z uporczywą bezmyślnością, że wcale nie wyglądało na to, by miał kiedykolwiek przestać. Wreszcie tamci trzej pozostali poirytowani postanowili między sobą, że za najbliższym razem żaden nie powie: no, panie, już dosyć. To było akurat w Kanale Kilońskim o 11-ej w południe. Tamten tasuje, ci milczą. Mija pół godziny, ten ciągle tasuje, ci milczą. Dzwieczy gong na śniadanie. Tasuje, milczą. Wieczór. To samo. Minęła noc. Ciągle tasuje. Tak dopłynęli do Londynu, bardzo zmęczeni. Wysiedli, tamten został i ciągle tasuje. Wracają po paru dniach, żeby jechać do Gdyni. Siedzi przy stoliku i tasuje. Usiedli i patrzą. Tak było do Gdyni. W Gdyni wysiedli i wuj nie wie, co się dalej z tym tasującym stało, ale zdaje mu się, że został na statku jako pomywacz w kuchni.

Albo taka historyjka: pewna staruszka, znajoma żony, miała na utrzymaniu dwóch siostrzeńców. To nie były złe chłopaki, tylko lubili pohulać. Ponieważ na ten cel zawsze było za mało pieniędzy, więc wynosili z domu i sprzedawali różne rodzinne pamiątki. Wreszcie ciotka zorientowała się, woła ich do siebie i powiada: tak a tak, to są rodzinne pamiątki, jak tak można. Już nie chodzi o pieniądze, ale o zasadę i o pamiątki. Niech się opamiętają, ona tyle dla nich dokłada starania. Mają dać słowo honoru, że to się więcej nie powtórzy. Chłopcy mieli w gruncie rzeczy złote serca, rozplakali się i dali słowo honoru, całując przy tym ciotkę po rękach. Rzeczywiście przez cztery dni zachowywali się przyzwoicie. Ale piątego jeden w tajemnicy przed drugim znów coś wyniósł. Wieczorem spotkali się w barze „Szarotka” i udawali, że się nie widzą. Następnego dnia drobiazgów żadnych już nie było, jeden wyniósł pod paltem serwantkę, drugi klatkę z papugą. Spotkali się w antykwarni, nie przywitali się jak obcy. W domu zapanowało zajadłe i zapamiętałe niedomówienie. Ciągle coś wynosili, a ciotka, już stara, niedowidziała, niedosłyszała, z fotela się nie ruszała i nie wiedziała, co się święci. A ich opętała szala na tle tej konkurencji w niedomówieniu. Nie chodziło im już o skutek, tylko o przyczynę, przestali nawet chodzić do baru „Szarotka”. Mieszkanie pustoszało, nikły obrazy ze ścian, dywany, krzesła, statki z kuchni, szafy, stoły, a oni udawali przed sobą, że wszystko jest na swoim miejscu, siedzieli na fikcyjnych krzesłach, przy fikcyjnym stole i jedli z fikcyjnych talerzy. Znikły łóżka, spali jak gdyby nigdy nic na ziemi. W końcu gdy zostały tylko gołe ściany i fotel z ciotką, powykręcali żarówki z lamp i powyjmowali drzwi i ramy okienne. Gdy nie było już zupełnie nic, zaczęli chodzić jak dwa głodne tygrysy dokoła fotela z ciotką. Nie wiadomo, jak by się to skończyło, ale starszego Franka wzięli do wojska, a młodszy Józef poczuł się nagle jak tenisista, któremu w kulminacyjnym punkcie meczu wyrwano niespodziewanie raketę z ręki. Zdaje się, że wyjechał z Warszawy i został karmicielem dzikich zwierząt w wędrownym cyrku.

Tę ostatnią historyjkę wuj opowiadał zdaje się w czasie Wilii w tym roku, kiedy Staszek złamał nogę na nartach. Pamiętam, że pan Wiśniewski, który po raz pierwszy słyszał wuja, powiedział, gdy ten skończył: „Tak, tak, niedobrze dawać słowo honoru bez pokrycia”. Ojciec wymówił mu za to dom. To była przyjemna Wilia. Stefek przyprowadził wtedy po raz pierwszy Marylkę. Ślicznie akompaniowała na fortepianie panu Marcelemu, który śpiewał balladę „O Murzynie zakochanym w lady”, Marylka miała broszkę – słoniu z bursztynu. Pan

Kropas przyszedł w żakiecie. Spóźnił się o godzinę i podając sos majonezowy ciotce Walerce, wylał wszystko na obrus.

Cóż to? Stałem koło dymnika. Ja z jednej strony, upiór z drugiej. Zachciało mi się iść do domu. Znudził mnie upiór i to wszystko.

Często później w życiu, kiedy zdarzenia piętrząc się i wirując nabierały dziwnego rozpędu, który doprowadzał mnie do najniezwyklejszych wstrząsów, nagle w kulminacyjnym momencie oderwania się od rzeczywistości ogarniało mnie znużenie i niespodziewaną falą poczyniała przyplýwać codzienność, którą witałem z tęsknotą i ulgą.

– Muszę już iść – szepnąłem.

Upiór popatrzał jakby zmartwiony.

– Szkoda – rzekł. – Było bardzo przyjemnie. Ludzie nie zawsze są tak nieciekawi, jak się wydają. Przyjdź jutro znowu.

Zrobiło mi się niemiło. Upiór był zaangażowany w nasze spotkanie i zachowywał się tak, jakbym i ja był zaangażowany, gdyż byłem nim jeszcze przed chwilą i tak niedawno, że ani on nie mógł odczuć zmiany, ani ja w żaden sposób jej okazać.

O straszliwe uśmiechy wywołujące fałszywy prouśmiej! O spojrzenia i gesty znaczące, trafiające w pozór, za którym kryje się pustka! O rozpędzone koleje losu, tym wywołujące katastrofę, że mijają się, zamiast wpaść na siebie!

– Przyjść? – spytałem. Rozejrzałem się dokoła i popatrzałem znacząco na porozrzucane stosy bielizny. – Obawiam się, że przez ten nieład będzie jutro na strychu ruch. Byłoby nam trudno tu się spotkać.

Upiór posmutniał jeszcze bardziej. Ale za chwilę twarz mu się rozjaśniła:

– Przecież możemy zobaczyć się gdzieś na klatce schodowej! Chciałem dowiedzieć się od ciebie różnych rzeczy. O, na przykład na najwyższym piętrze po drugiej stronie bramy. Ciemno tam i nikt nie przychodzi.

– Tak, ale jak się tam dostaniesz? Przecież straszysz – rzekłem z niedostrzegalną nutą ironii. – Ludzie będą się bali, kiedy spotkają cię na drodze.

– Głupstwo – odparł. – Posiadam sztukę przenikania przez ściany. Więc jutro wieczorem o wpół do ósmej. Dobrze?

– Dobrze – odparłem, a upiór okrył się płaszczem jak nietoperz zwijający skrzydła i zniknął.

Wróciłem do mieszkania, przeczekałem cierpliwie gderliwe wymówki z powodu spóźnienia się na kolację i wreszcie z ulgą znalazłem się sam w swoim pokoju.

Usiadłem przy stole i zacząłem porządkować marki w albumie pocztowym. Czułem w sobie rozgorączkowanie wypadkami dnia. Było to jednak takie rozgorączkowanie, jak gdybym wyrwał się z szaleńczej zabawy, która oszołomiła na krótko, ale do której wracać się nie ma zamiaru.

Rozkoszowałem się powszedniością wieczoru chłopca w wieku szkolnym. W pokoju obok siedzieli w fotelach rodzice przy stojącej lampie. Matka robiła na drutach. Ojciec czytał gazetę. Słyszeć było szelest przewracanych kartek.

Widziałem przez drzwi żółtawe światło lampy. Padało smugą na dywan. Prosta linia od abażuru pod biały piec oddzielała ciemność, w której drzemały sprzęty i obrazy na ścianie.

Tu Syjam, tam Tasmania. Miałem dwie, ale ktoś ukradł. Na pewno Kowalski. Złodziej. Odgryzł raz kawałek bułki Wilkoszewskiemu. Wilkoszewski płakał. Mówił, że jest głodny, a nie może jeść, bo zostały ślady zębów. Nawet gdyby ten kawałek odkrajać, też by już nie mógł jeść.

Od paru chwil moja głowa spoczywała oparta o dłoń. W drugiej ręce, opadającej za poręczą krzesła, trzymałem markę Tasmanii. Patrzałem w ciemne okno. Coś unosiło się nade mną. Coś kryło się w mroku i czyhało. Nie, nie byłem chłopcem w wieku szkolnym, nienagannie umiejscowionym w powszednim wieczorze rodzinnym.

Rozebrałem się, umyłem byle jak, szybko powiedziałem rodzicom w progu drzwi: dobranoc i wsunąłem się do łóżka.

Teraz i ja utonąłem w mroku. Na morzu ciemności kołysała się już tylko łódka światła lampy. Ojciec spoczywał leniwie pod żaglem gazety, matka wiosłowała szybko drutami i płynęli tak spokojnie szlakiem nadnocnym rodziny urzędnika magistrackiego.

Minęło parę chwil. Nie mogłem zasnąć. Dręczył mnie niepokój zdarzeń, nie określonych jeszcze kształtem.

– Mord seksualny przy ulicy Dzikiej – ojciec przeczytał na głos tytuł w gazecie i bębnił palcami po poręczu krzesła.

– Cicho – rzekła matka. – Obudzisz Frania.

Ojciec zaczął szeptać:

– Tak, tak, moja Anielciu. Mord seksualny przy ulicy Dzikiej. Przy innych ulicach też się mordują seksualnie. Nie tylko przy ulicach. Wszędzie dookoła mordy, mordęgi i mitręgi seksualne.

– Tak – szepnęła matka. – Mordują się z tym ludzie okropnie.

– A wszystko wiesz czemu? – spytał ojciec i nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej, jeszcze bardziej ściszone głosem: – Dziewczyny za szybko biegają, za bardzo płyną przy tym nad ziemią, jakby nie dotykając jej stopami. Na zakrętach zbyt im kolorowe suknie powiewają i zbyt od tego biegu falują piersi. Tak, tak, Anielciu, żenić się trzeba wcześniej, jak ja to zrobiłem.

Potem zapadła cisza, jakby jakieś szamotanie i dziwny, zduszony głos matki:

– Ty... stary... idź!...

Nasłuchiwałem tego wszystkiego ze zdumieniem i zgrozą.

– Co to ma być?

Jednocześnie chodziły mi po głowie myśli o upiorze. Dlaczego był taki strachliwy i nieśmiały? Czemu bał się, choć straszyl? Czemu nagle mnie znudził i zmęczył, a myślą powracam do niego uparcie?

Daleki zegar miarowo i dźwięcznie wybijał godzinę. Gwizdnęła lokomotywa. Pędził gdzieś po nocy rozszalały pociąg. Nagle zjawilo się we mnie nasze podwórko. Puste. Pianista milczy. Powiewa w oknie firanka, w innym pali się lampa.

Zniknęło. Na jego miejscu ujrzałem czarnego kota na tle księżyca.

Pochyliła się nade mną słodkawa twarz Ani. Czułem jej wargi na policzku, a zza jej pleców spoglądały na mnie smutne oczy upiora.

Uniosłem powieki. Żółtawe światło lampy kołysało się w drugim pokoju.

Matka zachichotała przeciągle i nieskromnie.

Zakryłem się ze wstydu po uszy kołdrą i usnąłem.

Dzień następny powitał mnie dotkliwą tęsknotą, która najpierw była nie dającym się określić uczuciem tłoczącego i słodkiego ciężaru, później rozpoznałem w tym tęsknotę, a na koniec dopiero mogłem zrozumieć, za czym tęsknię. Tęskniłem za wczorajszym spotkaniem z Anią i za przygodą na strychu. Pierwsza tęsknota ograniczała się do biernego faktu tęsknienia, odnosiła się do obrazu zrealizowanego i zakończonego w czasie, bez ochoty do wznowienia go. Być może już wtedy czułem, że pewne przypadkowe układy powstają tylko raz na skutek szczególnych i niepowtarzalnych warunków i żadne próby powtórzenia ich nie pomogą: czas jak wielka rzeka przewala się i umyka, wytęskniony układ buduje się już na tle zmienionej scenarii.

Ale przygoda na strychu nie była zakończona. Za nią tęskniłem czynnie. Dlaczego? Co w niej kryło się takiego, co przyciągało ku niej moje myśli i uczucia? Niepowszedniość zdarzenia? Jego romantyzm? Nie wiedziałem. Może najwyżej wyczuwałem podświadomie (nie pamiętam już) nieuchwytną nić, łączącą obie przygody. Pierwsza z konieczności musiała się zakończyć, przedłużała się jednak w drugą i w niej dalej się snuła. Czemu? Czy był

między nimi istotny związek? Z pewnością nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że widok Ani wzbudził we mnie pragnienie nieznanego, świętego grzechu pierworodnego. Wzbudził to pragnienie po raz pierwszy. Może dlatego, że właśnie w tym samym momencie zawyla nagle we mnie przebudzona natura, a może takie samo pragnienie niosła w sobie Ania i tknęła mnie nim. Cóż ja, chłopiec, miałem czynić, tknięty pragnieniem grzechu pierworodnego? Dużo później szukałem go, a nie znajdując nic prócz pospolitych błazeństw, przestałem wierzyć, że jest święty czy że we mnie tkwi zdolność uświęcenia go. Ale wtedy nie mogłem go jeszcze szukać, danym mi było jedynie doznać uczucia nie popełnionego jeszcze, a nęcącego przestępstwa, uczucia słodkiego, dusznego i obezwładniającego. Dynamizm pierworodnego grzechu skryłem w upiorze nieśmiałym i strachliwym, który choć straszyl, sam się bał.

Prawda, że do doznanych wrażeń opadło mnie natychmiast znużenie i zobojętnienie. I później jednak doznawałem tego często po wrazeniach nagłych i nowych, które miały grać jakąś rolę w rozwijających się zdarzeniach. Natura człowieka broni się przed zamachem na spokój powszedniości i jednocześnie przy niespodziewanych silnych doznaniach musi zużyć tyle sił na pierwsze ich przeżycie, że obojętnieje na moment i milknie niby śpiewak, który przerwał frazę po to tylko, aby zaczerpnąć oddechu i dobyć potężniejszego głosu.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI